

Robotnicy wyszli na ulice

Poznański czerwiec 1956 r.: początek długiego upadku PRL

28 czerwca 1956 r. o godz. 6.30 rano robotnicy z Zakładów imienia Stalina w Poznaniu zamiast pójść po nocnej zmianie do domów, wyłamali bramy i wyszli w pochodzie na ulicę Dzierżyńskiego. Dołączyli do nich koledzy, którzy przybyli na kolejną zmianę oraz załogi z innych przedsiębiorstw. Wnet w centrum miasta zebrał się kilkunastotysięczny tłum. Tak zaczął się czarny czwartek, jeden z tragicznych dni PRL, które będą znaczyły jego historię i datowały kolejne przesilenia i przełomy.

WIESŁAW WŁADYKA

W czerwcu 1956 r. po raz pierwszy w takiej skali i tak dramatycznie to ludzie na ulicy, robotnicy, wyrazili swoje niezadowolenie z porządków panujących w państwie, które przedstawiało się jako państwo robotników. Państwo odpowiedziało brutalną, krwawą w skutkach interwencją, lecz po Poznaniu nie dało się już rządzić jak przed Poznaniem. W konsekwencji po kilku miesiącach, w październiku, doszło do zasadniczych zmian w kierownictwie partii i do dość głębokich zmian w ustroju i sposobie rządzenia.

Wypadki poznańskie zaskoczyły wszystkich, były wstrząsem dla rządzących i dla rządzonych, choć – po pewnym czasie – stało się oczywiste, dlaczego do nich doszło, dlaczego musiało dojść.

Butelka wódki za 34,10 zł

Na naradzie ekonomicznej w Komitecie Centralnym 2 stycznia 1956 r. Franciszek Blinowski, zastępca kierownika Wydziału Przemysłu Ciężkiego, stwierdził w referacie, że co prawda Plan Sześcioletni nie osiągnął zakładanego 40-procentowego wzrostu płac realnych, lecz i tak zanotowano wielki postęp, bo wzrost wyniósł – jak twierdził – 26 proc. Otrzymał potem z sali pytanie na kartce. „Może tow. Blinowski pouczy nas, jak sprawić, aby masy uwierzyły, że wzrost płac jest rzędu 26 proc. stopy życiowej, skoro przeczy temu jaskrawo doświadczenie szerokich mas”. Zirytowany Blinowski odpowiedział: „Myślę, że najistotniejszym jest to, ażeby organizacje partyjne i członkowie partii (...) przede wszystkim uwierzyły w to (...), jeżeli się samemu stoi na gruncie wiary, (...) że tak jest, wtedy można tłumaczyć ludziom, jak to jest możliwe, że jednak stopa życiowa wzrosła, a on

tego nie odczuwa”.

W końcówce Planu Sześcioletniego zaopatrzenie rynku było fatalne, brakowało mięsa, masła, smalca i węgla. Za propagandową fasadą i za słowami działaczy partyjnych wzoru Blinowskiego i wielu innych, jeszcze bardziej cynicznych i aroganckich, kryła się twarda prawda: ludziom żyło się bardzo ciężko. W archiwum partii można znaleźć i takie obrazki z wiosny 1956 r.: „W PGR-ach województwa koszalińskiego zatrudnionych jest ponad 18 tys. młodzieży. Warunki młodych pracowników są często ciężkie. Przeciętny miesięczny zarobek pracowników zatrudnionych poza hodowlą w okresie zimy kształtował się od 280 do 450 zł. Niemało było wypadków, że po opłaceniu za stołówkę pozostawało na wszystkie inne wydatki 2–3 złote, a zdarzało się i tak, że zarobki wynosiły mniej niż koszty wyżywienia w stołówce(...) W Człopie na 15 osób stołujących się są cztery łyżki i cztery widelce, w Nowosiłkach na 10 stołujących się są dwie miski, a robotnicy chodzą na posiłki do świetlicy lub na dwór”. Dodajmy, że przeciętna płaca wynosiła wówczas 1109 zł, kilogram kiełbasy zwyczajnej kosztował 26 zł, a butelka wódki 34,10 zł. Żyło się zatem ciężko, lecz przecież nie ciężej niż rok czy dwa lata wcześniej. Musiały zaistnieć warunki polityczno-społeczne i psychologiczne, by protest i rozczarowanie nabrały cech zdeterminowanego buntu, by robotnicy wyszli na ulicę.

Sieroca choroba

Rok 1956 w Polsce był prostą konsekwencją destalinizacji, która rozpoczęła się na Kremlu po śmierci Józefa Stalina w marcu 1953 r. Stalinizm bez Stalina musiał zapaść na chorobę sierocą, nie dało się bowiem utrzymać dotychczasowego systemu bez osoby, która go współtworzyła, personifikowała i symbolizowała. Walka o władzę w Moskwie, z której zwycięsko wyszedł w końcu nowy sekretarz generalny Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego Nikita Chruszczow, przebiegała pod hasłem walki z kultem jednostki, czyli Stalina. Jej swoiste apogeum przypadło na XX Zjazd KPZR, który odbył się w lutym 1956 r. Na zamkniętym posiedzeniu zjazdu Chruszczow wygłosił referat „O kulcie jednostki i jego następstwach”, w którym wszystkie popełnione zbrodnie i tak zwane wówczas błędy i winy przypisał swojemu poprzednikowi, przedstawianemu jako osobnik o cechach demonicznych i paranoidalnych. Z jednej strony Chruszczow próbował w ten sposób oczyścić wszystkich następców Stalina, w tym oczywiście siebie, z drugiej – chcąc nie chcąc – przedstawił cały rejestr dokonanych zbrodni. Ten referat odegrał olbrzymią rolę w Polsce wiosną 1956 r.

W okresie między śmiercią Stalina a XX Zjazdem KPZR w samym Związku Radzieckim jak też w pojałtańskiej strefie wpływów radzieckich zaczęły się, prawem przewracającego się domina, zmiany, które nazwano odwilżą – za tytułem książki Ilji Erenburga. Te zmiany poszły najdalej w Polsce i na Węgrzech; tam, gdzie zostały wygaszone, dawały skutki przeniesione w czasie jak przede wszystkim w Czechosłowacji w 1968 r. W Polsce przypominało to nerwowe skurcze trawionego chorobą organizmu, miotającego się

w malignie. Po okresach prawdziwych objawów odwilży następowały raptowne próby powrotu do starej, stalinowskiej polityki i to często w stylu najbardziej brutalnym. I tak w Polsce prymasa Wyszyńskiego aresztowano we wrześniu 1953 r., dwa miesiące po tym jak agencja TASS podała, że w Moskwie został aresztowany Ławrentij Beria, przez kilkanaście lat szef stalinowskiego aparatu opresji.

Niemniej to w Polsce przede wszystkim, która – mimo że po 1948 r. poddana została ostrej sowietyzacji i stalinizacji – nadal odstawała na wielu polach od wzoru radzieckiego, szybko zareagowano na poszerzający się chaos na szczytach władzy. W samej partii, także w jej tak zwanym aparacie centralnym, narastało zaniepokojenie, przekonanie, że ściśle kierownictwo nie panuje nad sytuacją, że walka na Kremlu o następstwo przyniesie w rezultacie także zmiany w Polsce. Rezultatem tego poruszenia było uwolnienie w grudniu 1954 r. z więzienia, bez podania tego faktu do publicznej wiadomości, Władysława Gomułki, sekretarza generalnego PPR, odsuniętego w 1948 r. od władzy pod zarzutem „odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego”, któremu szykowano, jak wszystko na to wskazuje, pokazowy proces. Jednym z rezultatów było także samokrytyczne pokajanie się kierownictwa i przyznanie, że aparat bezpieczeństwa dopuścił się nadużyć w swojej działalności, co doprowadziło w grudniu 1955 r. do rozwiązania Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego.

Festiwal dla młodych i poemat dla dorosłych

Już nie było wiadomo, co jest na pewno „słuszne” i kto ma rację. Z wolna otwierała się przestrzeń dla bardziej spontanicznych zachowań społecznych i dla wyrażania krytycznych opinii – z początku bardzo nieśmiałych, dotyczących zjawisk i spraw drugorzędnych (osławione krytykowanie pracy kelnerów) aż po próby bardziej zasadniczej wagi. Jako że stalinizm polegał na tym, że swojej doktrynie i swoim działaniom podporządkować chciał całe życie społeczeństwa i człowieka aż po jego skarpetki, sny i marzenia – uwalnianie się z tej opresji przebiegało dosłownie na każdym polu. Z początku wystarczyło więc opublikować dziennik uczennicy, której płoche zapiski nie mieściły się w obowiązującym rytmie wychowawczym, poddać krytyce milicjanta na ulicy czy sposób prowadzenia zajęć na uniwersytecie, by pobudzić społeczne myślenie i wściekłość władz. Miała ona coraz większe kłopoty z prasą, która – mimo nagan i kar dla redaktorów – bez przerwy wyłamywała się z szeregu i publikowała teksty, o których jeszcze kilka, kilkanaście miesięcy wcześniej nie można było nawet marzyć. Tu i ówdzie słychać było jazz, w wielu miastach powstawać zaczęły kluby dyskusyjne i kabarety studenckie.

W lecie 1955 r. w Warszawie odbył się V Światowy Festiwal Młodzieży i Studentów, który był wielkim przeżyciem dla jej mieszkańców, przez kilka lat oddzielanych od zachodniego świata żelazną kurtyną. Nie tylko można było obejrzeć sobie podrygującego w jakimś zaczarowanym luzie żywego Murzyna z paszportem w kieszeni, lecz także – przy okazji – Wystawę Młodej Plastyki w Arsenale, która zbulwersowała wszystkich socrealistów

wychowanych w estetyce „podaj cegłę”. Gorącą dyskusję wokół obrazu Henryka Krzysztofiaka („na tle granatu i złamanej zieleni czysta, jakby spreparowana końska szczęka”) przebiła jednak ta, która wybuchła po opublikowanym w „Nowej Kulturze” „Poemacie dla dorosłych” Adama Ważyka. Poeta przedstawił apokaliptyczną wizję życia w Nowej Hucie, sztandarowej budowie Planu Sześcioletniego. („Każdy uczciwy intelektualista – powie Adam Ważyk w 1981 r. „Polityce” – ma swoją godzinę wyzwolenia. Moja godzina wybiła w 1955 r.”). Mimo zmasowanej krytyki poeta uchylił się od złożenia samokrytyki. Swojej szansy wyrażenia nowych prawd, porzucając często miazmaty, którym wcześniej służyli, poszukiwali także i inni. Dziennikarze i publicyści „Po prostu”, literaci: Maria Dąbrowska, Marian Brandys, Jerzy Andrzejewski, Marek Hłasko i inni.

Wiosna po referacie

Kilkanaście dni po XX Zjeździe w Moskwie zmarł Bolesław Bierut. Pojawił się problem następcstwa. Na burzliwym VI Plenum KC PZPR na nowego I sekretarza wybrany został Edward Ochab, w obecności uczestniczącego w uroczystościach pogrzebowych Chruszczowa. Tenże zgodził się nieoczekiwanie na przetłumaczenie tajnego do tej pory referatu „o kulcie jednostki” (już w czerwcu TASS będzie oficjalnie zaprzeczała, jakoby taki referat w ogóle był wygłoszony) i udostępnienie go członkom polskiej partii.

Referat był odczytywany na zebraniach partyjnych i wnet jego treść stała się własnością publiczną, przez Polskę przeszła wielka fala dyskusji. Wszędzie zadawano setki pytań, krytykowano Stalina, lecz także stalinizm we wszelkich jego przejawach i odmianach, również rodzimej. Polska przeżywała – jak to nazwał Julian Hochfeld – prawdziwą rewolucję moralną. Swoje samooczyszczające zebrania przeżyły wszystkie właściwie zakłady pracy i środowiska, które, po latach przymusowego milczenia i mówienia na rozkaz, teraz rozliczały przeszłość, wystawiały sobie i innym rachunki do zapłacenia.

„Odwaga staniała, rozum podrożał” – powiedział po jednym z takich zebrań w Związku Literatów Polskich Artur Sandauer. Z dyskusji i kłótni wyłaniał się przerażający obraz kraju, rządzonego przez „księżycową ekonomię” i przez „nową klasę właścicieli Polski”, zapis krzywd i niesprawiedliwości. Tego procesu odkrywania prawdy nie można było już zatrzymać, mimo że kierownictwo partii po kilku tygodniach próbowało ograniczyć dalszą lekturę raportu i nie szczędziło słów krytyki wobec prasy, która złapała wiatr w żagle i przenosiła na swoje łamy nastroje społeczne, umiejętnie się z nimi kontaktowała i wręcz je pobudzała. Niektóre artykuły zrobiły wielką karierę, stały się symbolami 1956 r., a także układem odniesienia dla debat publicznych i prywatnych, choćby „Na spotkanie ludziom z AK” i „Tam zapomniano o socjalizmie” z „Po prostu”.

Nie byłoby to możliwe w takiej skali, gdyby sama partia i jej kierownictwo nie weszły w głęboki kryzys. Załamała się doktryna, załamała się polityka, bo wszystko, co je określało,

zostało podmyte rewelacjami płynącymi wprost z XX Zjazdu KC KPZR (nie chodziło tylko o tajny referat, także o oficjalne zakończenie „zimnej wojny”, przyznanie innym prawa marszu do socjalizmu swoimi narodowymi drogami, niekoniecznie w zgodzie z wzorem radzieckim), czyli z centralnego miejsca całego systemu. Jedną z naturalnych konsekwencji tego stanu rzeczy była amnestia, uchwalona przez Sejm 23 kwietnia; objęła ona między innymi przestępstwa o „charakterze antypaństwowym”; łącznie 80 tys. osób. W maju ze wszystkich stanowisk ustąpił Jakub Berman, druga po Bierucie osoba odpowiedzialna za działania aparatu bezpieczeństwa po 1948 r.

Dogmatycy i rewizjoniści

Na szczytach władzy zaczęły kształtować się konkurencyjne koncepcje wyjścia z kryzysu. Do starcia doszło już na wspomnianym VI Plenum, z czasem konflikt będzie narastał i przyjmował coraz ostrzejsze formy, zwłaszcza po wypadkach poznańskich. Wedle jednej koncepcji należało za wszelką cenę podtrzymywać twarde zasady marksizmu-leninizmu, za błędy i winy rozliczyć przede wszystkim tych działaczy, którzy od zasad odeszli i odchodzą (tak się akurat złożyło, że najchętniej wskazywano na „towarzyszy pochodzenia żydowskiego”). Wyznawców tej koncepcji, która w drugiej połowie roku wzmocni się jeszcze bardziej, nie bez wsparcia Ambasady ZSRR, zaczęto nazywać dogmatykami, Natolińczykami (od pałacu Urzędu Rady Ministrów w Natolinie, gdzie organizował spotkania jeden z przywódców tej grupy wicepremier Zenon Nowak) i wreszcie Chamami.

Druga grupa działaczy, do której należeli między innymi tak zwani młodzi sekretarze (Jerzy Albrecht, Władysław Matwin, Jerzy Morawski), uważała, że należy wyjść naprzeciw społecznym oczekiwaniom i żądaniom i szukać w polityce – zwłaszcza po XX Zjeździe – „demokratyzacji”. Koncepcja ta zakładała po prostu, że należy poszerzać demokrację, ale jednak sterować nią i kontrolować niejako od góry, w zgodzie z nową, mającą się dopiero wyłonić, linią partii. To z tej grupy działaczy wyszła inicjatywa udostępniania referatu z XX Zjazdu, to oni sprzyjali w sumie zrewoltowanej prasie. Zwać zaczęto ich rewizjonistami, Żydami i Puławianami (jako że niektórzy z nich mieszkali w jednym ze specjalnych domów przy ulicy Puławskiej w Warszawie).

Wszystkie te terminy nabiorą wysokiej temperatury jesienią, niemniej wiosną zasadnicze linie sporu („kwasy i zasady”) były już wyrażane, żyły też w odbiorze społecznym, zwłaszcza w tych organizacjach partyjnych, w których dyskutowano wówczas najgoręcej i gdzie pytano najgłośniej o Gomułkę. Gomułka, osoba niby prywatna, siedział w swoim mieszkaniu przy ulicy Saskiej w Warszawie, rozmawiał z wystraszonymi wysłannikami Biura Politycznego i domagał się zaproszenia na najbliższe plenum KC. Wychodziło bowiem na to, że to on miał w 1948 r. rację, przeciwstawiając się Stalinowi i upominając się o „polską drogę do socjalizmu”. Teraz jakoś nie pamiętano jego brutalnej – stalinowskiej w swojej istocie – polityki po 1944 r., teraz widziano w nim przede wszystkim więźnia Stalina i Bieruta.

Wybuch nienawiści

Cechą czasu było to – co dzisiaj wydawać się może całkowicie niezrozumiałe i zaskakujące – że główny nurt narastającej rewolucji płynął przez partię oraz przez prasę i instytucje, które tej partii bezpośrednio podlegały. Już to zakreślało horyzont myślowy tej rewolucji, nie pozwalało na wyjście poza przyjmowane z założenia socjalistyczne wartości. Publiczna batalia w 1956 r., a zwłaszcza w 1957 r., będzie się toczyć po prawdzie o rozumienie owej „socjalistyczności”.

Z tego porządku wyłamali się robotnicy Poznania. Wyszli na ulicę, bo ich konkretne krzywdy (oszustwa na poziomie wydawania deputatów i naliczania podatków oraz norm, bezdusność lokalnej administracji i głuchota polityków z centrali) nie zostały naprawione. Podminowany nastrój w kraju, krytyczne artykuły w prasie, gorące dyskusje na otwartych zebraniach partyjnych sprzyjały, oczywiście, upominaniu się o swoje. Manifestacja krzywdy szybko jednak przemieniła się w wybuch nienawiści. Jeden z partyjnych działaczy, obecny w tym dniu w Poznaniu, Wincenty Kraśko, powie: „Podczas gdy inteligencja ujawniła swoją dezaprobatę wobec kultu jednostki i jego przejawów w naszym życiu niemal wyłącznie w dyskusjach i polemikach, to klasa robotnicza wyraziła swój nienawistny stosunek do tego systemu metodami sobie właściwymi, bardziej bezceremonialnymi – masowym strajkiem i demonstracją uliczną”. Na ulicach śpiewano „Rotę”, „Boże coś Polskę”, hymn narodowy, wymalowano transparent z napisem „Chleba i wolności”, wznoszono okrzyki: „precz z czerwoną burżuazją”, „precz z Moskalami”.

Klasa robotnicza nijak nie mieściła się w schemacie rewolucji, przyjmowanym na zebraniach partyjnych, choć wiele później zrobiono, by ją tam z powrotem wepchnąć. Na razie, 28 czerwca 1956 r., wyprowadzono przeciwko niej czołgi. Połała się krew, a premier Józef Cyrankiewicz mówił o odrąbanej przez władzę ludową – w imieniu i interesie klasy robotniczej – ręce. Triumf władzy był jednak złudny. Zbliżające się lato, a zwłaszcza jesień 1956 r. miały być gorące.